№ 7. Piątek, dnia 13 Listopada 1874 roku. Tom I

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

DRZEW. WARSZAWSKA.

WARSZAWA dnia 25 października (6 listopada) 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

SŁOWIANIE
na ziemi Madziarskiej,

PRZEZ

A. H. Kirkora.

(Dalszy ciąg)

Taką była Słowiańszczyzna, kiedy Węgrzy czyli Madziarowie wkroczyli do ziem słowiańskich. Była to chwila, kiedy Słowianie, jak już wspomnieliśmy, zostając z sobą w pokrewnych i bliskich stosunkach, z przyjęciem wiary chrześciańskiej mogli utworzyć jednolite potężne państwo. Tymczasem z osiedleniem się Madziarów nad środkowym Dunajem, ludy słowiańskie rozpadły się na dwie części, na południowych i zachodnich, a mając w pośrodku siebie obce plemię najezdnicze, stracili możność bliższej łączności, nie mogło już być nawet mowy o zupełnem zlaniu się. Owszem, każdy szczep, odosobniony, coraz mniej mając styczności z pobratymcami— myślał już tylko o sobie. Wtedy to zaczęły się tworzyć odrębne narodowości, odmienne języki, kiedy przedtem na całej przestrzeni słowiańszczyzny był jeden panujący język z bardzo nieznaczącemi odcieniami. Zachodni Słowianie zostali pod wpływem zachodniej Europy; Baltyccy bronili się od tych wpływów, usiłowali zachować swą samoistność— aż w końcu uledz musieli przemocy niemieckiej. Przeciwnie południowi Słowianie, odcięci od swoich pobratymców, ulegać zaczęli coraz bardziej wpływom Wschodu. Tak powstały koleją czasu odrębne państwa i państewka: Polska, Czechy ze Słowakami Łużyczanie, Rosya czyli Ruś, Serbia, Bulgarya, Chowarcya i Sławonia. Każdejuż żyło sobą tylko wzrastało lub upadało o własnych siłach, nie zawsze wiedząc nawet o tem, co się u bratnich sąsiadów dzieje. Jak w jednej tak w drugiej grupie Słowian byli ludzie, przeważnie z panujących, którzy pojmowali smutne następstwa takiej odrębności i nawet usiłowali, ażeby znowu zlać i zjednoczyć wszystkich Słowian. Symen bulgarski w X wieku, Stefan Duszan Serbski w XIV, Bolesław okrutny czeski w X wieku, Bolesław chrobry polski w XI, Wiaczesław II czeski w XIII szczególnie się odznaczyli stałą dążnością i usiłowaniem tego skupienia ludów pobratymczych. Lecz wszystko to było napróżno. Zdawało się, że nic nie może być łatwiejszego jak zlanie się tak pokrewnych ludów, jak Polacy z Czechami, lub Serbowie z Bulgarami, wszakże i do tego przyjść nie mogło, a zbiegiem czasu coraz już trudniej było myśleć o łączności.

Jakiż rezultat tego rozdziału bratobójczego, tego odosobnienia? Oto, że dziś niemamy już ani jednego z wymienionych przez nas szczepów, któryby zachował swą polityczną samoistność. Jedni, jak Baltyccy Słowianie znikli zupełnie i z ziemi i z dziejów, tylko pamięć o nich pozostała; inni pod obcą zostają władzą. Wprawdzie Serbia i Czarnogórze mają dziś swój własny rząd i byt polityczny, ale jeszcze pod opieką Turcyi.

Ciekawem będzie krótkie wyliczenie podbojów niemieckich i tureckich, na Słowiańszczyznie.

Najpierwsi, których pokonała przemoc niemiecka przed 1086 latami byli *Słoweńcy*, sąsiedzi Włochów, mieszkańcy gór i pól na północ od Adryatyckiego morza. Stało się to w roku 788.

Następnie *Słowacy*, mieszkańcy dzisiejszych północnych Węgier, stracili swe posiadłości i sami podlegli władzy Madziarów, w r. 907.

Łużyczanie, mieszkający w dzisiejszem saksońskiem królestwie, podbici przez Niemców w r. 1002.

Chorwaci, mieszkający na północnym wschodzie od Adryatyckiego morza, sami dobrowolnie oddali się Madziarom, w r. 1091.

Baltyccy Słowianie, mieszkańcy Pomorza Baltyckiego, oraz nad Odrą i Elbą czyli Labą, stąd zwani także *Polabscy* albo *Pomorscy*, ulegli ostatecznie przemocy Niemców, w XII i XIII stuleciach.

Bulgarowie, mieszkańcy północno-wschodniej i środkowej części europejskiej Turcyi, t. j. właściwej Bulgaryi i znacznej części Rumelii, pokonani przez Turków w r. 1393.

Serbowie, mieszkańcy północno-zachodniej Turcyi europejskiej i w pogranicznych posiadłościach Austryi, podbici zostali przez Turków w 1389 r., ostatecznie zaś pokonani w r. 1463, a dopiero część ich później dostała się Austryi w 1690. Serbia turecka, pod wodzą księcia Jerzego Czarnego, a później Miłosza Obrenowicza, poparta przez Rosyą, uzyskała swoję samoistność w r. 1829, ale zawsze pod zwierzchnictwem sułtana tureckiego.

Czesi i *Morawianie*, podlegli cesarstwu Austryackiemu, w r. 1526, z zachowaniem wszakże swoich praw i przywilejów, których pozbawieni zostali w r. 1620.

Nawet *Rusinów* jeszcze blisko 3 miliony zostaje pod berłem Austryi, a przeszło pół miliona należy do Węgier.

Rozważmy teraz, co spowodowało ten rozdział, to odosobnienie i w końcu upadek tak smutny i haniebny.

Powiedzieliśmy, że hasłem do tego rozdwojenia było najście Madziarów, którzy osiadłszy w samym środku Słowiańszczyzny, tem samem rozdzielili ją na dwie części i wznieśli mur nieprzełamany, który zatamował wszelką drogę do wzajemnych stosunków i łączności.

To jedna główna przyczyna. Druga zaś zależała od właściwości charakteru samychże Słowian.

Zastanówmy się nad tem.

Jakim sposobem, lud tak mnogi, potężny, który już w dalekiej przeszłości stał się groźnym dla sąsiadów, który zapędzał się nad Ren i dalej, do Adryi, do Peloponezu, do Azyi, który prowadził już handel tak obszerny, mógł pozwolić, ażeby garstka najezdców osiadła w samem jego sercu i zniszczyła go?

Drugie pytanie: dlaczegóż Słowianie, jeżeli niezdołali przeszkodzić osiedleniu się Madziarów, nie starali się później wyrugować ich ze swych posiadłości?

Na pierwsze zapytanie odpowiedzmy słowami Herdera, który w pięknym swoim ustępie o Słowianach, przyczynę i niewoli ich widzi w tem, że wojować nie umieli, a raczej, że wojny toczyć, że pewnego systematu wojennego zaprowadzić u siebie nie potrafili.

To samo stwierdza Palacky. W swoich znakomitych Dziejach narodu czeskiego, z powodu najścia Madziarów, powiada on, że gdyby nie ten nieszczęsny wypadek, Słowianie zdołaliby z przyjęciem chrześciaństwa zjednoczyć się i, jak na zachodzie pod wpływem Rzymu utworzyło się państwo frankońskie, tak samo na wschodzie powstałoby niezawodnie potężne jednolite państwo słowiańskie, a Europa przed tysiącem laty ujrzałaby zupełnie inny skład i podział niż ten, jaki się później utworzył. Lecz Węgrzy stanęli na przeszkodzie tej łączności. Odtąd ludy Słowiańskie, odosobnione, rozdrobione, nigdy już nie były wstanie skupić się, a brakło im sił i umiejętności na prowadzenie wojny dla usamowolnienia się, drobne zaś utarczki, jakie staczali z sąsiadami do żadnych rezultatów doprowadzić nie mogły, wobec tej przewagi i tej umiejętności, jaką się odznaczali zjednoczeni i silnie zorganizowani ich przeciwnicy.

O tej nieudolności Słowian do wojny systematycznej, którą zastąpić chcieli zawsze chwilą zapału, gotowością osobistą do ofiary, dobrze wiedzieli i starożytni pisarze. Nicefor Gregoras, historyk i poseł Carogrodzki, udając się (1326) do Serbii, przebywał nocą wśród lasów niebezpieczne drogi. Znajdujący się przy nim Słowianie, wyśpiewywali głośno żałośne o rycerzach swoich dumy. Wspomina o tem uczony Grek w swojej kronice, złośliwie dodając: „Nasłuchałem się głosu *sławy* tych dawnych bohaterów, ale jej *skutku* niewidziałem.” Tak więc obok zapału i ofiarności, obok męstwa widzimy od najdawniejszych czasów brak porządku i składu wojennego, brak uległości i karności. „Nierządni i niezgodni są i porządku nie znają,” powiada o Słowianach, cesarz Maurycy. „Że zaś, mówi dalej, sprzeczne między nimi opinie panują, więc albo do zgody nigdy nie przychodzą, albo choć się i zgodzą na co, to wnet znajdą się tacy, którzy spólną uchwałę złamią; bo w powszechnem zwaśnieniu, jeden drugiemu ulegać nie chce.”

Oto są odpowiedzi na powyższe zapytanie.

Co do drugiego pytania, jakim sposobem Madziarowie raz usadowiwszy się, pozostali nazawsze na tem samem miejscu i siedzą na niem przeszło dziesięć wieków?—odpowiedzieć łatwo, bliżej poznawszy ich system postępowania ze Słowianami i wogóle ich politykę, której się trzymali od samego początku.

Madziarowie przez tyle wieków składali dowody, że są obdarzeni w wysokim stopniu *instynktem zachowawczym*. Oni nie chcieli naśladować Atylli i Tamerlana, nie troszczyli się o podbicie i ujarzmienie ludów na wielkich przestrzeniach; umieli zawsze poprzestać na małem. Pierwszy ich wódz, który ich tu przywiódł, nazywał się *Arpad*, a już syn jego *Solta*, zakreślił granice swego państwa, których przekroczyć nie wolno było. *Granice te pozostały i do dziś dnia te same.*

Madziarowie dla korzyści, dla zysku nieraz robili wyprawy nawet w dalekie strony, do Niemiec, Włoch i Grecyi, a po zwycięztwie śpieszyli z łupem do domu, a ten dom zamykały Karpaty, Dunaj i Sawa, za które nigdy przestąpić nie usiłowali.

Czwartym z kolei następcą Arpada był św. Szczepan, który nietylko, że wprowadził religię chrześcijańską, ale był najgłębszym organizatorem, a nawet twórcą państwa węgierskiego. Madziarowie z dumą powiedzieć mogą, że ich konstytucya, t. j. konstytucya nadana przez Świętego Szczepana, jest najstarszą w Europie, bo istnieje od tysiącznego roku a więc jest starszą o sto lat nawet od sławnej angielskiej *Magna charta*. Konstytucya madziarów, jednocząc w osobie króla władzę nad krajem, nadawała prawa i przywileje nie samej tylko licznej szlachcie— ale i całej ludności, tak dalece, że stosunkowo lud w Węgrzech daleko więcej miał swobód niż w innych państwach w owym czasie. A chociaż z początku Słowianie do szlachty nie należeli,— niedługo potem przedniejsi z nich i do tych praw przypuszczeni zostali, ogół zaś nie był uciemiężany, obejście się z nim było łagodne, a konstytucya nadawała prawa samorządu. Dawne tradycye, zwyczaje, w niczem nie ucierpiały, ale zato przybyła organizacyjna całość, państwowa powaga, ład i porządek, których Słowianom brakowało.

Oto odpowiedź na drugie pytanie. Madziarskie panowanie nie było uciążliwem dla Słowian, nie usiłowali więc zgoła uwolnić się z pod opieki Madziarów.

Dość jest powiedzieć, że nietylko w dawnych kronikach, ale nawet w pieśniach ludowych nie ma wspomnień nawet o zajściach z Węgrami, lub o ich uciemiężeniu.

A tymczasem znaczenie i siła Madziarów rosły i zwiększały się. Przybywali do nich wychodźcy z Azyi, znajdowali tu dobre przyjęcie i zaliczani byli do organizacyjnej całości. Oprócz cząstkowych dość licznych przesiedleń najważniejsze nastąpiło w XIII wieku, kiedy cała orda sławnych i groźnych niegdyś Połowców i Jazygów, uciekając od Tatarów— znalazła przytułek u Madziarów i zwiększyła ich siły.

Musiały rządy Madziarów być łagodne i sprawiedliwe, skoro po upływie stu lat od nadania konstytucyi Ś-go Szczepana inny szczep Słowiański, Chorwacki, dobrowolnie uległ władzy Madziarów, przez co zyskali oni piękną krainę od Drawy do morza Adryatyckiego, a nadto zyskali w Chorwatach najgorliwszych przyjaciół. *d. c. n.*

CIEPŁO i ŻYCIE.

Temperatura zwierząt. — Przyczyny wpływające na wytwór ciepła zwierzęcego.—Ciepło rozmaitych organów ciała ludzkiego.—Stosunki zachodzące między ciepłem a powietrzem do płuc napływającem.—Ile tlenu człowiek wziewa, a ile wyziewa kwasu węglanego?—Ognisko wewnątrz na płoncze.—Siedlisko ciepła zwierzęcego.—Jakie ciała mieszczą się we krwi.—Ilość ciepła wytwarzana przez zwierzęta.—Ile wodoru i węgla spala człowiek w sobie wciągu doby?—Przyczyna ruchu zwierząt.—Stół robotnika.—Mięso, jarzyny i wódka.— Machina zwierzęca.—Zjawiska patologiczne.—Granice ciepła oznaczające zdrowie.— Wpływy ciepła nadmiernego. — Berger i Delaroche. — Spostrzeżenia Klaudyusza Bernarda. — Demarquay.—Wpływy zimna na organizm zwierzęcy.—Hypoteza Huntera.—W jaki sposób zimno zabija.—Słowa Solandera pod biegunami.—Spostrzeżenia Pouchet'a.—Gdzie mamy poszukiwać źródła ciepła zwierzęcego?

Chcąc wyśledzić wpływy ciepła na życie, poznać dokładnie naturę tego czynnika, potrzeba oprzeć się nietylko na metafizyce, ale niemniej na chemii i biologii. Termochemia wy-

U OGNISKA.

Blaga i reklama, szczególniej ostatniemi czasy, w celu obałamucania opinii publicznej i ciągnienia stąd nieprawych korzyści, coraz więcej pod najrozmaitszemi postaciami zastawia swe samołówki dla wyzyskiwania łatwowiernych i niedoświadczonych. Z trudną do wiary bezczelnością nie wybiera w środkach, nie cofa się nigdzie i każdę okoliczność stara się wyzyskać na własną indywidualną korzyść pod pozorem choćby dobrobytu powszechnego. Nawet fakt tak wysokiej ogólnej doniosłości jak tegoroczna wystawa przemysłowo-rolnicza dostarczył tu nowego wątku wyzysku obywateli ziemian. Programem wystawy objęte były również ryby i rybołóstwo, które jednakże nie stanęły do konkursu, z powodu tak dalece zaniedbanego u nas gospodarstwa rybnego, iż miejscowe potrzeby zaspakaja przeważnie import zagraniczny. Poczęto utyskiwać na brak specyalistów zdolnych, mogących urządzać stawy, hodować ryby nietylko naturalnemi ale i sztucznemi środkami. Usłużna reklama przychodzi w pomoc i zaleca wielkiego jakiegoś ichtiologa, nieznanego wprawdzie, gdyż jako prawdziwy geniusz, ukrywał dotąd swój talent, naukę, doświadczenie i wiadomości w jakimś podokopowym zakątku. Po sprawdzeniu atoli okazało się że jakkolwiek reklamowany jegomość tytułuje się Dyrektorem rybołóstw rządowych, był tylko dozorcą stawów, i za nieprawne przywłaszczanie sobie tytułu, otrzymał już napomnienie. Pomimo to jednak pod osłoną i prptekcyą reklamy szuka szęścia azali nie trafi się jaki forszus na zaprowadzenie rybnego gospodarstwa, stucznej hodowli rozmnażania ryb i t. p. Za rybołówcą niezbyt szczęśliwie zarzucającym swe wędki, pojawia się nowy pionier, fabrykant cukru z owoców, bez wzglęndu na to, że owoce na miejscowe potrzeby, dla braku rozwoju sadownictwa sprowadzać musimy z zagranicy, i że gdyby ich nawet było zadużo, to i wtakim razie korzystniej byłoby obrócić je na inne cele.

Za przykładem Warszawy poszły i niektóre z naszych miast prowincyonalnych i obdarzyły nas fotograficznemi widokami swoich gmachów i okolic. I tak w Lublinie pani Chicińska, właścicielka zakładu fotograficznego, rozpoczęła wydawnictwo, które dotychczas obejmuje cztery poszyty widoków miasta Lublina z objaśnieniami p. Zielińskiego. Dalej znowu pan T. Chodźko fotograf w Płocku zapowiada *Album fotograficzne widoków krajowych*. Pierwsza serya, złożona z czterech zeszytów a dwunastu widoków obejmować będzie: Kościół na Jasnej Górze, Podzamcze, Ogrodzieniec, po trzy widoki z Ojcowa i z Pieskowej-Skały, Pilicę, Smoleń i Rabsztyn. Niewątpimy, że jeżeli cena, stosunkowo do wydania, okaże się przystępną, Album znaleść może szeroki pokup, a piękne miejscowości naszego kraju, godne siebie rozpowszechnienie.

P. Fajans, właściciel zakładu Artystyczno-Litograficznego i Fotograficznego wydał album tegorocznej wystawy rolniczej. Myśl uprzy-

jaśnia nam pochodzenie ciepła—termodynamika wykrywa jego przeistoczenia—fizyologia wreszcie określa zmiany zachodzące w jestestwach żyjących, gdy te ulegają wpływom temperatury wyższej lub niższej, od im właściwej.—Z badań tych nauk, korzysta medycyna i hygiena.

Zapoznać czytelnika z doniosłemi odkryciami w tym przedmiocie, jest zadaniem niniejszej pracy.

Wszystkie zwierzęta posiadają temperaturę wyższą, od cechującej ośrodek gazowy lub płynny, w którym żyją. Zwierzęta mające krew ciepłą, we wszystkich klimatach i wyniesieniach ziemi, przedstawiają prawie stałą temperaturę. W okolicach biegunowych naprzykład, człowiek, zwierzęta ssące i ptaki, posiadają ciepło niższe tylko o jeden lub dwa stopnie, od temperatury zwierząt żyjących pod zwrotnikami. Temperatura średnia ptaków dochodzi 47 stopni Cell. ssących zaś 37 stopni. Zwierzęta mające krew tak zwaną zimną, wytwarzają również ciepło, chociaż w ilości stosunkowo mniejszej. W każdym razie temperatura ich ciała, ulega, zmianom jakie zachodzą w otaczającym je ośrodku i utrzymuje się wyższą od niego o kilka stopni. Najwyższa temperatura płazów dochodzi 5 stopni, najniższa $\frac{1}{2}$ stopnia dosięga. Ryby i owady posiadają jeszcze mniejszy zasób ciepła, rzadko kiedy wznosi się ono do $\frac{1}{2}$ stopnia. W rezultacie, u zwierząt posiadających temperaturę zmienną, dostrzegamy, że tem dzielniej one opierają się wpływom zewnętrznym oziębiającym, im ich ustrój mniej jest udoskonalonym. Zresztą u tych jestestw działalność życiowa i energia oddychania, jest w stosunku prostym ich stanu termometrycznego. I tak w ośrodku temperatury 7 stopni, jaszczurki zużywają ośm razy mniej tlenu, niż gdy ciepło tegoż dochodzi 23 stopni. U zwierząt posiadających temperaturę stałą, zachodzi stosunek odwrotny. Im zimniej, tem silniej oddychają. Człowiek zużywający w lecie 31 gramów tlenu na godzinę — zużywa w zimie w tejże jednostce czasu 44 gramy. Niezależnie od stanu ogólnego, wiele rozmaitych warunków wpływa na zmiany ciepła zwierzęcego.

Pory roku, godziny dnia, sen, trawienie, sposób żywienia się, są czynnikami wpływającemi na oddychanie. W ekonomii jednak zwierzęcej, panuje taki przedziwny porządek, taka osobliwsza harmonia, że w stanie fizyologicznym utrzymuje się, prawie stała temperatura.

Ciepło ciała ludzkiego u podstawy języka, lub pod pachą, wynosi około 37 stopni C. i można je uważać za średnie. Skóra jest najzimniejszą częścią ciała—im więcej graniczy z nogami i rękami, tym niższy przedstawia stopień ciepła—przeciwnie im głębiej w organizm sięgniemy, tym wnętrze ciała będzie gorętsze od jego powierzchni. Mózg mniej posiada ciepła od wnętrzności—tkanka komórkowa mniej od mięśni. Nie we wszystkich punktach ciała krew jest jednakowo ciepłą.

Poszukiwania Davy'ego i Becquerela okazały, że krew jest tym gorętszą, im więcej zbliża się do serca. Klaudyusz Bernard z pomocą czułych niezmiernie narzędzi fizycznych, zdołał wymierzyć temperaturę głębokich naczyń i komórek sercowych. Genialny ten fizyk francuski udowodnił, że krew wypływająca z nerek jest gorętszą od powracającej do nich—toż samo można powiedzieć o krwi przebiegającej wątrobę. Wreszcie uczony ten sprawdził, że ten płyn odżywiający, oziębia się w przepływie przez płuca, w skutek czego temperatura lewych jam serca, jest niższą od jam prawych, a to średnio biorąc o $\frac{1}{5}$ część stopnia. Fakt ten okazuje jasno, że płuca nie są ogniskiem ciepła zwierzęcego, oraz że krew w czynności odżywiania oziębia się, nie zaś ogrzewa.

Spostrzeżenia te stanowią piękną zdobycz nauki, tej szafarki wiadomości najpotrzebniejszych dla człowieka, i tyle praktycznych w zastosowaniach.

Iluż to jednak ludzi, nie zaprząta się wcale tym przedmiotem!

Dawni fizyologowie mniemali, że życie posiada siłę wytwarzającą ciepło. Galien poczytywał ciepło za *wrodzone* sercu—jatrochemicy przypisywali je fermentacyom, a jatromechanicy tarciu[1]).

Czas wymierzył sprawiedliwość tym hypotezom. Dziś nauka okazała najwidoczniej, że ciepło zwierzęce powstaje z reakcyi chemicznych, zachodzących wewnątrz ekonomii. Wykrycie tej prawdy zawdzięczamy Lavoisierowi. W 1777 roku uwidocznił on, że powietrze przepływając przez płuca, rozkłada się, podobnie jak drzewo palące się na ognisku. Owóż w tym ostatnim razie, wywiązuje się ciepło, które tem samem powinno wytwarzać się w płucach, a mianowicie w przerwie między wziewaniem a wyziewaniem powietrza. Ciepło to niewątpliwie wraz z krwią, rozprowadzając się w całej ekonomii zwierzęcej, utrzymuje w niej jednostajną temperaturę. W ten sposób następuje wymiana ciągła pomiędzy ciepłem jestestwa żyjącego, a ilością powietrza napływającego do płuc, które tam przetwarza się w kwas węglany.

Był to pierwszy fakt, ujawniony przez słynnego chemika, nie poprzestał on jednak na tem tylko odkryciu. Przedsięwziął bowiem sprawdzić, czy ciepło wytworzone z palenia się węgla w organizmie, wyrównywa ściśle temu, jakie zwierzę wywięzuje w czasie danym. Ciepło to oznaczał Lavoisier z lodu umieszczonego w kalorymetrze, i stopniałego wskutek oddychania zwierzęcia.

Owóż te ilości ciepła, nie były wcale sobie równe — co nie mogło długo dziwić Lavoisier'a, gdyż wkrótce potem wykrył on, że ze 100 części tlenu, spożytego przez zwierzę z atmosfery, tylko 81 części zwraca ono w oddychaniu, pod postacią kwasu węglanego. Lavoisier stąd wnosił, że pozostająca część tlenu posługuje do spalenia wodoru, dla wytworzenia wody zawartej w gazie przez zwierzę wyziewanym.

W rezultacie ciepło zwierzęce uważał on za powstające z podwójnego palenia się, to jest najpierw węgla, a następnie wodoru—oddychanie zaś poczytywał, za wyziewanie kwasu węglanego i pary wodnej. Teorya Lavoisier'a, pomimo upływu tylu lat, w głównych swych podstawach pozostała niezachwianą—niektóre tylko jej punkty zmieniono lub dopełniono. I tak płuca w rzeczy samej wyziewają parę wodną i kwas węglany, chociaż te dwa gazy, nie mogą pochodzić z bezpośredniego spalenia się wodoru i węgla, gdyż te ciała w stanie wolnym nie istnieją w ekonomi zwierzęcej. Nie są one wreszcie jedynemi produktami pracy chemicznej, spełniającej się w ognisku życiowem. Oprócz wody i kwasu węglanego, wyziewanych przez zwierzęta w oddychaniu, które są jakby dymami tej kuchni organicznej, wydzielają one jeszcze niektóre związki, będące jakby jej szumowinami.

Owóż te związki niezasymilowane, jako to mocznik, kwas moczowy, kreatyna, żółciołój (cholesterina), i t. p., nie mogą być produktami czystego palenia się, i okazują, że potok obiegowego płynu naszego ciała, jest siedliskiem wielce licznych reakcyi, których prawa zaledwie znamy.

Gdzie jest siedlisko stopniowych przekształceń materyi odżywiającej? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, dość jest zbadać wszystkie miejsca ekonomii, poprzerzynane naczyniami włoskowatemi. Gruczoły, mięśnie, trzewia, wszelkie organy, ulegają procesowi palenia. W każdej chwili otrzymują tlen, wpływający na przekształcenia najrozmaitsze, w najgłębszych częściach ciała. Jednem słowem, każdy organ oddycha we właściwy mu sposób. Od-

[1]) Jatrochemia jest teoryą leków opartą na zasadach chemii—jatromechaniką zaś nazywamy teoryą leków opartą na podstawach mechaniki.

---

tomnienia znakomitszych okazów Wystawy na swą dobrą stronę, mniemamy jednak, że cena (za 54 sztuk widoków większego formatu rsr. 25, za 16 widoków w formacie kartek wizytowych rsr. 4) jest nieco może za wysoką, co wpłynąć może na małe rozpowszechnianie się albumu między publicznością, a to przecież nie leży w interesie wydawcy. A teraz kiedy mamy już album widoków cenniejszych przedmiotów wystawowych; należałoby życzyć, aby ukazało się odpowiednie dziełko, traktujące o wystawie. Dzieło takie, zwłaszcza, jeśliby zajęło się dokładnem ocenieniem wystawionych przedmiotów ze względów naukowych i praktycznych i przedstawiało dokładny stan naszego rolnictwa i przemysłu wiejskiego z wykazaniem tych gałęzi, na które dotąd mniej zwracano uwagi, mogłoby się stać pracą ze wszech miar pouczającą i użyteczną.

Podnosząc, o ile można, wszystko, to co zasługuje na uznanie i poparcie, nie możemy zbyć milczeniem usiłowań Wyższej Szkoły Rolniczej imienia Haliny w Żabikowie pod Poznaniem. Zakład ten, który tak chlubnie zaprezentował się na ostatniej wystawie rolniczej, spełnia z należytym pożytkiem swoje zadanie, którem jest teorytyczne wykształcenie przyszłych właścicieli, dzierżawców i rządców większych posiadłości ziemskich. Z tego powodu zdaje nam się, iż szczegóły dotyczące bytu tej szkoły, jakie czytelnikom naszym podać chcemy, nie będą dla nich bez zajęcia. Wykłady teorytyczne uzupełniają repetitorya, ćwiczenia, wycieczki naukowe, i demonstracye praktyczne. Oprócz wykładów z dziedziny czystego gospodarstwa istnieją kursy dla poświęcających się gorzelnictwu, piwowarstwu, cukrownictwu, ogrodnictwu i wełnoznawstwu. Nauki rozłożone są na sześć półroczy czyli lat trzy, co jednak nie wyklucza możności, dla lepiej przygotowanych, ukończenia całego kursu w czterech lub pięciu półroczach. Przyjmowanie uczniów następuje dwa razy do roku, w październiku i w kwietniu. Uczeń powinien posiadać przygotowanie takie, jakiego się wymaga od kończącego w naszych gimnazyach klasę VI, i dostarczyć następujące dowody; *a*) metrykę i paszport; *b*) lekarskie świadectwo zdrowia; *c*) świadectwo szkolne; *d*) oświadczenie rodziców, iż należności przepisane regularnie z góry opłacać będą; *e*) świadectwo z praktyki gospodarskiej o ile ją uczeń już przebywał. W braku świadectw szkolnych o przyjęciu stanowi dyrektor na zasadzie egzaminu wstępnego. Opłaty wynoszą: *a*) wpisowego talarów 10; *b*) za cały kurs trzyletni talarów 210 i to w pierwszem półroczu tal. 60, w drugiem i następnych 50, 40, 30, 20, w ostatniem 10; *c*) za pozostawiony do woli udział w ćwiczeniach naukowych, laboratoryach i seminaryach (w III, IV i V, półroczu) oraz na bibliotekę i czytelnię opłaca się półrocznie po 5 talarów. Uczniowie pragnący korzystać wyłącznie z kursów gorzelnictwa, piwowarstwa, cukrownictwa, ogrodnictwa, hodowli owiec i wełnoznawstwa, opłacają za kurs trwający rok jeden 100 tal. z góry. Kursy te dla uczniów szkoły są bezpłatne. Uczniowie niezamożni w pierwszem półroczu w połowie, w następnych całkowicie od opłat zwolnieni być mogą. Uczniowie mieszkają poza zakładem w domach prywatnych; najniższa cena mieszkań wynosi $12\frac{1}{2}$ tal. półrocznie, opłata zaś za obiad i wiecze-

dychanie to odbywa się na całej jego powierzchni, a zatem nietylko w naczyniach włoskowatych, jak niektórzy fizyologowie utrzymują. Naczynia te są tylko kanałami przesyłającemi tlen, który drogą przesiąkliwości, przedziera się przez delikatne ich ścianki i w zetknięciu z maleńkiemi cząstkami masy organicznej, dokonywa procesu chemicznego, utrzymującego ogień w ustroju życiowym. Drzewo pali się szybko, wydając płomień— materyały opałowe masy organicznej, łącząc się z tlenem, palą się również wewnątrz nas, lecz zwolna.

Krew przechodząc nieustannie przez najdelikatniejsze naczynia naszego ciała, nasyca się tlenem w każdej chwili, gdy pierś się unosi. Krew ta składa się z wielce różnych materyałów. Zawiera ona w sobie sole mineralne jako to: chlorki, siarczany i fosforany potażu, sody, wapna, magnezyi, tudzież materye barwnikowe, ciała tłuszczowe, materye obojętne pokrewne krochmalowi, wreszcie produkty azotne, jak białko i włóknik. Sole nie ulegają znacznym zmianom w strumieniu obiegowym krwi, i właściwą drogą zostają wydzielane. Materye obojętne krochmalowe, przeistaczają się w mączkę zwierzęcą (glykogen) tudzież w tłuszcz. Ciała tłuszczowe ulegają tylko we krwi utlenieniu, i rodzą związki tegoż rodzaju. Wreszcie ciała azotne przeistaczają się we włóknik, pepsynę, pankreatynę, które są związkami niewiele od siebie różnemi. To pierwszy dział pracy chemicznej. Następnie wszystkie te materye, krew przenosi do organów żywiących się niemi. Mączka zwierzęca przekształca się w cukier, który spala się, wytwarzając wodę i kwas węglany — kwasy tłuszczowe zostają w części wydzielone, w części spalone. Co do materyi plastycznych, stanowiących osnowę tkanki, zaledwie znamy ich związki chemiczne z produktów przez nie wydawanych, z mocznikiem, kreatyną, żółciołojem, kwasem moczowym i ksantyną.

Taki jest obraz głównych zjawisk zachodzących w ekonomii zwierzęcej, wskutek których wywiązuje się ciepło, mniej lub więcej silne. W cudownym ustroju naszego ciała nie istnieje żaden oddzielny organ do produkowania tego ognia, lecz każdy element anatomiczny przyjmuje udział w tej sprawie. Dlatego też w całem ciele, znajdujemy prawie jednostajną temperaturę, pochodzącą z regularnego obiegu krwi roznoszącej wszędzie ciepło. *(d. c. n.)*

PRZEGLĄD LITERACKI.

Błękitna Książeczka, powieść p. Waleryi Morzkowskiej.

(Dokończenie).

Nagle przebiegła przestrzeń, jaka ją oddzielała od Wisły, i rzuciła się do wody. Łatwo się dpmyśleć, że nieznajomy mężczyzna był wybawcą nieszczęśliwej, pragnącej ostatecznego zerwania z życiem dziewczyny.

Był to doktór, zamieszkujący wraz z ukochaną żoną, mały ów domek, przybytek wdzięków i szczęścia. Cnota, rozum i miłość w skromnem ustroniu dały kochającej się parze raj ziemski. Kilka tygodni w ciężkiej niemocy przepędziła Natalia, otaczana czułemi staraniami tych ludzi, podczas kiedy państwo Romińscy, bliscy byli rozpaczy wobec skandalu, jaki się wydarzył w ich domu i daremne czynili wysilenia w celu odszukania Natalii, którą już mieli za straconą.

Książe Staromirski i teraz nawet nie przybył, aby dzielić z rodziną boleść i poszukiwać utraconego dziecka. Taki nawet wypadek niepotrafił poruszyć samolubnego arystokraty; autorka zapomniała, że choćby tylko przyzwoitość przestrzegana niezawodnie w sferach arystokratycznych wymagała jego obecności w Głogowie. Szczegół ten jest jednym z ważniejszych niedostatków powieści. Natalia wyzdrowiała nareszcie; silne wstrząśnienia fizyczne, jakich doznała, zatarły poniekąd w pamięci jej smutny wypadek, któremu uległa, zmniejszyły znakomicie ból doznanego zawodu. Obok cnoty i rozumu, spotkała w ludziach, pod których dachem tak serdeczną znalazła opiekę, prawdziwe zrozumienie obowiązków życia, wielkie w niem znaczenie użytecznej pracy i błogi jej wpływ na cały duchowy ustrój człowieka. Księżniczka Staromirska krzątała się po domu wraz z żoną prowincyonalnego doktora, z którego rodziną połączyły ją węzły wdzięczności i czułego przywiązania. Cały ten obrazek bardzo wdzięcznie wygląda w powieści. Pan Marceli, doktór, i jego cichy domek jest właśnie kontrastem przeciwstawionym Głogowskiemu pałacowi, jego sztywnej etykiecie i chłodowi, jaki panował pośród członków zamieszkującej go arystokratycznej rodziny.

Odrodzona moralnie Natalia, idąc za głosem obowiązku i radą zacnego doktora, powraca do Głogowa, gdzie przybycie jej przynosi nieznaną tam dotąd odrobinę szczęścia i miłości.

Utwór jednak traci wiele na tem, że autorka dla skomplikowania intrygi, daje w tej części obrazu drugi plan, który kreśli tak niewyraźnie, że doprawdy trudno sobie zdać sprawę, jakie właściwie ma mieć znaczenie w powieści ten drugi dramat, odegrany kiedyś przed laty przez osoby działające w obecnym.

Dowiadujemy się niebawem, że hrabia Emilian i doktór są to dawni rywale, ludzie rzecby można nienawidzący się śmiertelnie, gdyby człowiek tak doskonały jak doktór, prawdziwy bohater powieści, mógł kogo nienawidzieć. Doktór kochał niegdyś piękną księżniczkę Aurelię, której list wpadł w rękę hrabiego Romińskiego, jej narzeczonego, a następnie męża. Teraz ludzie ci spotykają się znowu, kiedy doktór wezwał hrabiego, aby mu powrócić utraconą Natalię. W długiej z nim rozmowie, rozumem, taktem i panowaniem nad sobą doktór pokazuje się nieskończenie wyższym od swego arystokratycznego rywala.

Przeciw tej sytuacyi nie mamy nic zgoła jest ona zupełnie naturalną i należy do szczęśliwszych ustępów utworu, wyższość bowiem ludzi zacnych i inteligentnych w średnich sferach towarzyskich, ludzi, którzy od chłopięcia bojować musieli na świecie, wysiłkiem woli i ciała łamać przeszkody, jakie na drodze do wyższości umysłowej i niezależnego stanowiska spotyka uboga i pozbawiona wpływowego poparcia młodzież—jest prawdopodobną wobec tych, na których, nim jeszcze ujrzeli światło dzienne czekało gotowe miejsce przy uczcie życia. Jakkolwiek, ktoby nam chciał koniecznie zaprzeczyć, wskazałby w historyi ludzi żelaznych na widowni życia choć w złotej kołysanych kolebce. Przyjmujemy to jako wyjątek, obstając przy naszej powyżej wyłożonej regule.

Charakter doktora jakkolwiek często powtarzający się w powieści jako typ człowieka, który na drodze pracy i przebytych zawodów doszedł do wysokiego stopnia dojrzałości umysłowej i zupełnej władzy nad sobą nakreślony jest z talentem i bardzo miłe robi na czytelniku wrażenie.

Takie osoby jak Natalia spotykają się także w życiu, większość może nawet kobiet w jej wieku zbliża się do tego typu. Procesy psychiczne tej osobistości, nakreślone są dosyć szczęśliwie. Pan Romuald Kalina jest jednak najoryginalniejszą i dobrze pochwyconą osobistością w powieści. Człowiek działający pod natchnieniem chwili, zdolny uczuć podniośle-

rzę również półrocznie 35 tal. i wyżej. Z tych kilku słów, można już mieć wyobrażenie o zadaniu i rozwoju Szkoły Rolniczej w Żabikowie.

Systematyczny kurs nauk pana Augusta Jeskiego, cieszący się ze wszech miar zasłużonem uznaniem, wzbogacony został nowem, drugiem już wydaniem *Małej Gramatyki Języka Polskiego.* Wydawnictwo p. Jeskiego zbyt wielkiej jest wagi, aby je zbyć można kilku słowami; dlatego też, zaznaczamy tylko w tem miejscu pocieszający fakt powtórnego wydania *Małej Gramatyki*, którą, jako na zdrowych zasadach opartą i przeprowadzoną, a szczęśliwie unikającą wszelkich innowacyi, jak najusilniej polecamy tym wszystkim, co kształcąc dzieci, potrzebują *dobrego* podręcznika. Obszerniejsze zdanie o *Systematycznym Kursie Nauk* wypowiemy wkrótce pod rubryką „książek poleconych.“

W niedzielę przedstawiono poraz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości oryginalną jednoaktową komedyą hr. Koziebrodzkiego p. n. *Miłe złego początki.* Jakkolwiek ani publiczność ani krytyka nie zdołały usprawiedliwić wyboru tej właśnie sztuki z pomiędzy wielu innych tegoż samego autora, (Pokusa, Zawierucha, Po śliskiej drodze, Hrabia Maryan i inne) a i z artystow nie wszyscy, na pierwszem przynajmniej przedstawieniu, zdołali się zadawalniająco wywiązać ze swojego zadania — to jednak, ze względu na tę okoliczność, że *Miłe złego początki* należą do rzadkich u nas sztuk oryginalnych, powiemy o tej komedyi i o jej wykonaniu słów kilka, w przyszłym naszym przeglądzie teatralnym.

Dowiadujemy się, że Towarzystwo osad rolnych zamierza urządzić szereg odczytów dla powiększenia swych funduszów, potrzebujących znaczniejszego zasilenia z powodu prowadzonej obecnie przez Towarzystwo budowy domków w Studzieńcu. Jeśli zamierzone odczyty przyjdą do skutku, ogół odniesie podwójną korzyść — przez zapoznanie się z temi gałęziami wiedzy, które wybrane zostaną za przedmiot odczytów, — jak również przez zasilenie kasy Towarzystwa, którego cel, wysoce obywatelski, w interesie dobra ogólnego winien być jak najprędzej urzeczywistniony w praktyce.

O ile wnosić można z ostatniego posiedzenia zebrania ogólnego Akcyonaryuszów Towarzystwa Dr. Żel. Nadwiślańskiej, w d. 19 (31) października r. b. w Petersburgu odbytego, oczekiwana zgoda między spierającemi się stronnictwami, nareszcie nastąpiła. Plan działań, stanowiący dotąd punkt sporny, prawie jednomyślnie na tem posiedzeniu został przyjęty. Nie wchodziny w rozbiór przyczyn, rozdzielających akcyonaryuszów na przeciwne sobie stronnictwa, ani pobudek, które skłoniły przeciwników do zgody, zaznaczamy tylko sam fakt, wyrażając nadzieję spiesznego wybudowania tej drogi, z niecierpliwością przez ogół oczekiwanej.

Tak tedy na brak koncertów uskarżać się prawdopodobnie nie możemy. Rozpoczęły się już rzeczywiście owe coroczne zimowe turnie-

szych, ale zasłaby, aby utrzymać się na wysokości powziętej myśli, trochę poetyczny, ale niedosyć rozumny, aby ze swoich zdolności odpowiedni zrobić użytek, we własnem przekonaniu przyznaje sobie zawsze niepospolitą wyższość umysłu. Odegrana przez niego arcy smutna rola, poucza, jak zarozumiałość i słabość charakteru doprowadzić mogą człowieka niezłego w gruncie do czynów niegodnych, nawet do nikczemności. Zato charakter hrabiego Romińskiego uważamy za najzupełniej chybiony. Człowiek niby rozumny i szlachetny, jak się to pokazuje w końcu powieści, w całem poprzedniem postępowaniu nie okazuje ani serca ani rozumu. Oziębłością i wymówkami unieszczęśliwia żonę, nieznośnem szyderstwem odstręcza jej siostrę, dziecko zostawia nieznanemu człowiekowi i trzyma je zdaleka od siebie i matki, rachuby krewnego Leopolda na małżeństwo z Natalią przyjmuje jako naturalne i jakoby z charakterem i zdaniem jego zgadzające się, sam tymczasem ożenił się ze skłonności serdecznej i przez lat kilkanaście cierpi mocno nad zawodem, jaki go spotkał w tym związku. Wogóle jednak strona charakterów obrobioną jest szczęśliwiej, słabszym nierównie jest sam pomysł i układ powieści.

Po przeczytaniu ostatniego odcinka gazety, zawierającego rzeczony utwór, czytelnik zapytuje sam siebie, czy utwór ten jest powieścią? Czy nie jest to raczej oderwany epizod, opis pojedynczego wypadku na tle obyczajowem osnuty? Wprawdzie objętość dzieła daje mu niejakie prawo nazywać się powieścią, ale układ bynajmniej. Nieuważamy za stosowne przywodzić definicyi powieści lub wyliczać warunków, jakim stosownie do wymagań estetyki odpowiadać powinna. Rzecz ta znaną jest wszystkim obeznanym z literaturą beletrystyczną, estetyką i teoryą prozy, najlepiej zaś, samej autorce, która tego w innych swoich pracach niejednokrotnie złożyła dowody. Poprzestajemy tedy na wzmiance, że utwór pani Morzkowskiej osnutym jest na ubogim bardzo w treść powieściową pomyśle.

Mówiąc o budowie utworu, niepodobna nam pominąć uwagi, że połowa osób w nim działających, stoi zupełnie luźno, niezwiązana z całym mechanizmem intrygi.

Książe Staromirski, hrabia Leopold Romiński, pani Drylska, są to postacie, wychodzące zupełnie poza ramy pomysłu. A cóż powiedzieć o owej mamce, służącej w domu doktora, niegdy piastunce Natalii, starej domownicy książąt Staromirskich, która wydobytą z wody i położoną w łóżko Natalię, poznaje po jakichciś znamionach?

Ważniejsze może nad te usterki są niedostatki językowe, spotykające się bardzo obficie w powieści.

Niepodobna nam wyliczać wszystkich, ograniczymy się do zaznaczenia tych, jakie spotykamy na pierwszych niemal stronicach utworu. Wielka to szkoda, że współczesne nam talenta pisarskie, zrzekają się dobrowolnie wdzięku, jakim każdą mowę ustną czy pisaną wzbogaca prostota stylu. Przesada, tak pospolita u współczesnych nam piszących, uważaną jest niejako za ozdobę równie w prozie jak w poezyi. Tworzenie wyrazów, do którego żaden chyba z autorów z osobna niema prawa stało się dziś epidemicznem. Wielka to szkoda powtarzamy, że pani Morzkowska posiadając wielką łatwość we władaniu językiem nie stanie obok tych naszych pisarzy, których styl będzie nazawsze wzorem ojczystej mowy. Przesada nie jest bynajmniej efektem stylu. Autorka nasza, goniąc za świetnemi i poetycznemi zwrotami, popada w nią często. Tak naprzykład w rozmowie dwóch sióstr „Natalia uniesiona jest ogniem dyskusyi." Taż sama Natalia „zwacała się myślą do umarłej matki, tuliła się rozżalona do jej łona, szukając odpowiedzi na *pytania bytu, co drgały* jej nieustannie na ustach."

W innem znów miejscu: Natalia czuła, że w słowie „kochać" „*drgała tajemnica bytu.*" Niedługo potem „wlepiła w nieznajomego wielkie ciekawe oczy, w których *drgały wszystkie pytania bytu.* Autorka lubuje się w słowie „*rozbrzmiewać*;" i tak: „park cały *rozbrzmiewał* radosnemi nutami ptasząt i owadów." W rozmowie Natalii z doktorem: „*rozbrzmiał* nad nią głos Marcelego." Rzeczownik duch, spotyka się w każdej niemal szpalcie, tam nawet, gdzie dałyby się z korzyścią dla jasności i właściwości wyrażenia, użyć wyrazy: dusza, umysł, serce. „Noc przemarzona niemogła rozświetlić dla niej chaosu własnego *ducha.*" „Lękając się każdego ludzkiego oka lub słowa, coby rozmącić mogły harmonią przepełniającą jej *ducha*;" o parę wierszy dalej: „wiara ta niewypróbowana niczem, niemogła stanowić trwałego *gruntu* ani pokarmu dla *ducha.*" Wyraz duch występuje i z przymiotnikami i to niezawsze dającemi się odszukać w dobrych słownikach języka.

I tak: Pan Romuald Kalina ów niefortunny pseudo-bohater utworu: stał podobny do cichego posągu, w którego rysy mistrz wlał *piorunnego ducha.* „Elukubracye zawarte w błękitnej książeczce, stały się dla jej *ducha* zabójczym pokarmem." W rozmowie z hr. Leopoldem Romińskim Natalia: „jeszcze raz, hrabio, spytała podnosząc oczy, *jakby do głębi chciała zbadać jego ducha*, ożeniłbyś się ze mną i t. d."

Gdzieindziej znów czytamy:„ Któż przejrzał kiedy głębie serc zranionych.„ „Kto się domyślał *konania ducha* pod spokojnym pozorem„ i t. d. — nie wiemy czy duch może konać.

Z rzeczownika piorun, tworzy autorka słowo *spiorunować*: i tak Aurelia w czasie rozmowy z siostrą, „*spiorunowała* ją wzrokiem."

Wiele wyrazów autorka tworzy sobie sama, albo używa ich w znaczeniu, jakiego nie miały dotąd; np. między rodzicami a dziećmi istnieje *rozdźwięk*, to niby niezgoda czy nieporozumienie. Wiersz do nieznanej kochanki, sprawił na niej największe wrażenie„ wszak to było dotąd *bezruchome widmo*: czyż ona zrealizować go nie mogła?" Czego zrealizować nie mogła, czy tego bezruchomego widma?

Tak, pozwoliwszy sobie zaznaczyć usterki w utworze niepospolitej naszej autorki, niepotrzebujemy chyba dodawać, że ta jej praca, jakkolwiek nierównie słabsza od poprzednich, zawiera wiele ustępów pięknych i określeń szczęśliwych. Zresztą, co do słuszności czynionych zarzutów, odsyłamy czytelnika do rozbieranego przez nas utworu i odwołujemy się do jego własnego sądu.

Mieliśmy sobie za obowiązek wypowiedzieć rzecz całą tak, jak ona się oczom naszym przedstawiła, gotowi w każdym czasie ustąpić coś z naszego zdania, gdyby nam błąd w niem jaki wykazano. *Szląskowski.*

KORESPONDENCYA
Ogniska Domowego
Z ZAGRANICY.

Poznań, w listopadzie 1874 r.

Z porą jesienną nastaje zwykle czas większego ruchu i skupiania się w towarzystwach mających za cel, już to samę zabawę, jużto łączących *utile dulci*. Życie jednak towarzyskie u nas nie kwitnie, drga ono zaledwie przy familijnym samowarze.

Dziwna to jednak zmiana zaszła w społeczeństwie naszem. Chłód jakiś, ogół opanował—miast szukać ciepła w rodzinnych ogniskach rozpraszamy się tu i włóczymy się z kąta w kąt, jak błędne owce.

---

je wszelakiej broni artystów. Pierwszy stanął w szranki p. Feri-Kletzer, wiolonczelista. Ma on smyk dzielny i wiolonczelę piękną otrzymaną w darze od dostojnych mecenasów, wiolonczelę co pod dotknięciem dłoni artysty i płacze i śmieje się i szemrze cicho... Koncertant ma grę spokojną, poważną; tony wywołane przezeń są pełne i okrągłe. Najlepiej wystąpiły jego zalety w Suite Bacha i w Szumanowskich melodyach. Prawdziwe uczucie i wdzięk szlachetny wiały z tych kompozycyi niemieckiego śpiewaka. Wrażenie wieczoru psuła tylko czasem fatalna intonacya, którą zapewne niezgodzie ze strojem fortepianu przypisać należy. Znaczną część koncertu wypełniła grą na fortepianie panna Więckowska. Debiutantkę można już nazwać artystką.— „Melancolie" Rubinsteina zelektryzowała, niestety dość szczupłe, audytoryum. Widocznie wstrzymano się do mającego odbyć się nazajutrz koncertu na rzecz studentów uniwersytetu. Tu bowiem dobijano się o bilety. Każdy pragnął dorzucić grosz w tak zacnym celu. I przepełniła się sala redutowa. Prócz znanej uwertury z Paryi, dyrygowanej energicznie przez p. Müncheymera wykonano z utworów zbiorowych znakomity septet Mercandantego z opery "Bravo" i hymn p. Müncheymera. Romansem Beethovena zachwycił p. Górski, nieszczędzono też oklasków pannie Prylińskiej amatorce, sympatycznej śpiewaczce i panu Fillebornowi za doskonałą egzekucyą romansu Müncheymera z opery „Otton Łucznik". Królikowski wzruszył i zachwycił wypowiedzeniem wiersza p. t. „Loterya", panna Popiel zaś „Zamkami na lodzie" Chęcińskiego, zarobiła na długi oklask... Składające narzędzie reportera winniśmy dodać, iż w sali resursy obywatelskiej zabrzmiały dźwięki orkiestry pp. Lewandowskiego i Kuhnego. Harmonią tę znaleźć będzie można co niedziela i święto.

Pisma codzienne donoszą, iż spółka angielska, reprezentowana tu przez hr. Michałowskiego, stara się o udzielenie koncesyi na desinfekcyą miasta węglem drzewnym. Pomysł nowy, nie wiemy jednak czy uzyska aprobatę, jak również drugi projekt tej kompanii a to wystawienia jeszcze jednego mostu na Wiśle. Dezinfekcya mocnoby się zdała i most także nie zawadzi byleby tylko Anglicy nie chcieli zanadto zarobić a my abyśmy przy tem za wiele nie stracili... Prócz zamorskich przedsiębiorców znalazł się i swój proponujący ustalenie koryta Wisły i to małym kosztem. Władze podjęły myśl tę gorąco i badają rzecz dokładnie. Projektantem jest p. Daniszewski, właściciel majątku w Lubelskiem, który wynalazł nowy praktyczny sposób stawiania tam, co wylewom i silnym prądom stoją oporem. Rzecz wkrótce wyjaśnioną zostanie a wtedy nieomieszkamy zapoznać czytelników z owym pomysłem. Nawiasem wspomnieć się godzi, iż matka rzek naszych, ta straszna nieraz falą swoją Wisła, coraz mniejszą się staje. Wysokość wody wynosi — 2 cale! Takiej nowiny i w starych annałach nie znajdzie. Co się to dzieje z rzek naszych królową!?

Istnieją tu wprawdzie i *Resursa obywatelska* i *Kółko towarzyskie* dalej *Towarzystwo młodych kupców* wreszcie *Towarzystwo przemysłowców* i *czeladzi katolickiej* lecz żadne z nich prócz Towarzystwa przemysłowego a częścią i czeladzi katolickiej nie odpowiada swemu zadaniu, nie wiążąc silniejszym węzłem swych czlonków, z których wielu wtedy dopiero przypomina sobie o istnieniu kółek, gdy woźny do drzwi o wkładkę zakołace. Więc ją płacą—i nic więcej!

Resursa obywatelska dostępna jest, jak wiadomo, tylko dla tych co majątkiem i rodem wynieśli się ponad poziom. Zdawałoby się więc, iż życie towarzyskie kwitnąć tu powinno... Tak kwitnie, lecz — gra, namiętna gra w karty.

Wielki krzyk podniosło niedawno dziennikarstwo poznańskie na owych panów niszczących fortuny u zielonego stolika. Nawet zarząd resursy wzbronił gry hazardownej. Nie wiele to jednak pomogło. Dziwny szał opanował członków, zgrywano się, jak to mówią, do koszuli... Szał ten owładnął za owym przykładem znaczną część obywatelstwa. Poznańskie przemieniło się prawie w szulernię. Zacietrzewienie granic nie miało. Myślano o różnych środkach zaradczych, ktoś nawet podał myśl, aby podobnie jak przed laty rozpisać konkurs celem napisania satyry na graczy. Niestety Gaszyńskich dziś nie ma a zresztą żywe słowo nie posiada już teraz tej potęgi jak ongi, gdy smutną namiętność stłumić potrafiło. Trudno mi było zbadać przyczynę tej fatalnej innowacji—miałażby to być chęć zagłuszenia żalu powstałego po niedawnych a tak dotkliwych klęskach finansowych? Nie rozpatrywać jednak tej posępnej sprawy lecz rzucić na nią raczej cień zapomnienia przystoi. Może się to zmieni...

W Kółku towarzyskiem znajdującem się obecnie w Bazarze mieści się cała inteligencya, kupcy i przemysłowcy więksi. Członków liczą przeszło trzystu więc i ruch pewien panować powinien. Od lat dwóch jednak stowarzyszenie to niedaje znaku życia, dawne zebrania ustały, odczyty należą do tradycji, świetność koła stała się przeszłością — apatya zaległa wielkie i piękne salony, w których się zaledwo rozbija jeden preferansista lub gorący whista amator. Winą to głównie zarządu, mającego inicyatywę w ręku; jego to obowiązkiem wlać ogień w żyły... I członków nie uwolniłbym od zarzutu. Mogą oni złożyć ster w ręce odpowiedniejsze i rozbudzić życie. Jednak śpią. Na zeszłoroczne walne zebranie ściągnięto ich zaledwo 27; jeżeli i tego roku zbierze się równie imponująca liczba natedy wyjdzie z urny stara gwardya, najzacniejsza, najpoczciwsza ale lubiąca—drzemkę.

Do najnowszych ciał należy *Kółko młodych kupców*, w pierwszych chwilach żywota pełne zapału i nerwojej gorączki, dziś także zakrzepłe. Jest prezes i jego zastępca, są sekretarze, to dosyć. Stał niegdyś na czele *Kółka* pan O. Poruszył on wszelkie sprężyny, aby *Kółko* zrobić nietylko miejscem rozrywki lecz i szkołą, w której młodzież handlowa naukę czerpaćby mogła.

Nawiasem wspomnieć się godzi, iż światła, młódź ta potrzebuje — kupiectwo bowiem w mieście przez pół jest niemieckie. Brak nam i kapitałów i specyalnego wykształcenia i sprytu i wytrwałości. Lecz wracajmy do *Kółka*... Stanęło ono od razu. Z ostygnięciem jednak energji pana O. i z jego usunięciem się z prezesowstwa, nauczyciele poszli w zawody z uczniami, aby uniemożebnić dalsze istnienie szkoły, wykłady tygodniowe zamieniły się na miesięczne zebrania, były coraz mniejsze, w końcu lokal opustoszał i tylko służba przewalała się w jego kątach. Woźny jednak chodzi ciągle z listą wkładek, a członkowie płacą — tej akuratności bowiem od Niemców sporo przyjęli. Wartoby jednak nad umoralnieniem młodzieży handlowej, przy stosunkach naszego miasta, popracować. Tę dźwignię sami porzucamy.

Towarzystwo przemysłowe odpowiada swemu zdaniu — skupia ono świat rzemieślniczy dla zabawy i nauki. Panuje tu zdrowsze powietrze. Zimą odczyty i pogadanki. Ostatnia z nich „o dramacie“ ma cel użyteczny i pielęgnuje zamiłowanie do sceny.

Ciche i dość nieruchliwe jest *Stowarzyszenie czeladzi katolickiej*, które czynność swą kończy na amatorskich przedstawieniach za współudziałem jeszcze cichszej *Harmonii*...

Taki to niewesoły obraz naszego życia towarzyskiego... Wspomnieć może należy o kilku salonach i salonikach, te jednak nazwalibyśmy właściwie ogniskiem koteryjek.

Na nudy zimowe lekarstwem najlepszem ze znanych dotąd w Europie i w innych częściach świata bywa teatr. I tej przyjemności pozbawieni jesteśmy. W nowym bowiem gmachu przedstawienia mają się dopiero rozpocząć około Nowego Roku. Roboty nie idą raźno. Sala teatralna wprawdzie zamała ale schludna, za to scena jest obszerna, garderoby dostateczne. Zagadką prawdziwą kto obejmie dyrekcyą. Mieliśmy tu smutne przykłady rządów ludzi nie mających żadnych kwalifikacyi na stróżów tego znicza... Scena była, szczęściem czas krótki, gniazdem swawoli i zepsucia. Przykład powinien zarząd przekonać o ważności zadania, jakie ma do spełnienia dyrektor teatru. Szczegóły nie są nam znane—podwoje świątyni Melpomeny otworzyć się mają 15go stycznia roku przyszłego.

Tymczasem bawi nas cyrk Kreutzera. Klowny, małpy, psy i konie zawsze będą miały swoję publiczność. Do budy tłoczy się publika. Hej hajsa bajazzo!

Ze świata artystycznego trudno o nowiny. Poznań nie jest portem dla cyganów sztuki. Maluje tu tylko profesor Jaroczyński, rzeźbiarza nie znajdziesz. Szczupłe grono cichych muzyków zwiększył F. Guniewicz lwowianin, dzielny kompozytor i twórca wzniosłego oratoryum „Niewola Babilońska.“ Koncerty jego były dość puste. Guniewicz dobry fortepianista, wyborny nauczyciel osiedla się tu w tym ostatnim charakterze.

O literaturę nie chcę na dziś zawadzać. *Warta* nie rozwinęła się zupełnie a *Tygodnik Wielkopolski* mało kto czyta, a nikt prawie go nie rozumie, co też i jemu samemu pewno się nieraz zdarza i udaje.

W roku zeszłym projektowano już z inicyatywy pruskiego ministra handlu pomiędzy innemi kilka linii kolei żelaznych, mających przerzynać Inowrocław a mianowicie:

1) linię kolei żelaznej przez Pakość, Barcin, Żnin, Wągrowiec, Czarnków, Wielerz do Krzyża, przez co ułatwiłby się znacznie wywóz soli z Inowrocławia i wapna z Barcina w głąb Niemiec.

2) z Wrześni przez Strzelno do Inowrocławia;

3) z Inowrocławia do Królestwa na Włocławek.

Magistrat Inowrocławski zamierza w porozumieniu z magistratami miast odnośnych i rozmaitych przedsiębiorców ponownie wziąć się do dzieła i starać się usilnie o przyprowadzenie do skutku przynajmniej dwóch w mowie będących linii t. j. do Krzyża i do Królestwa Polskiego. Linja pierwsza ma przyjść niewątpliwie do skutku a co do przeprowadzenia drugiej wielka ma być nadzieja. *Vedremo!*

Na tem pierwsze moje do Was posłanie kończę prosząc o pozwolenie pogwarzenia kiedyś *de quibusdam aliis*. *Gryf.*

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg)

Jedyną istotą na pokładzie, która zdawała się mieć sympatyą dla niego, jakkolwiek może wyłącznie ze względów egoistycznych, był kucharz, człowiek dziwaczny i jak na kucharza nadzwyczaj brudny. Na okręcie naturalnie nazywano go zawsze doktorem, musiał wszakże pamiętać lepsze czasy i jak się potem okazało, podupadł tak jedynie wskutek pijaństwa. Jerzy od owego wieczora, kiedy popadł w nieszczęście, ślubował nigdy więcej nie pić wódki, dlatego przypadającą na niego porcyą grogu t. j. araku i wody regularnie oddawał kucharzowi i w ten sposób, nie przywiązując do tego z początku najmniejszej wagi, zyskał sobie jego przyjaźń.

Kiedy nieraz w nocy miewał straż na przodzie okrętu, lub też, gdy w chwilach spoczynku siedział i w zamyśleniu spozierał na morze, przychodził do niego kucharz, siadał i starał się, z początku napróżno, wszcząć z nim rozmowę. Jerzy nie lubił, żeby mu przerywano jego marzenia, byłyto bowiem jedyne chwile, w których mógł oddać się cały wspomnieniom tego, co utracił. Pozwalał przeto nieraz kucharzowi wygadać się do syta, sam nie przemówiwszy ani słowa. Pewnego razu przecież dostrzegł, że ten człowiek zna więcej sztukę żeglarską aniżeliby przypuszczać można po kucharzu.

Co go dawniej obchodziły gwiazdy świecące na niebie! Jedyną jego gwiazdą była Jenny— a lubo, jako marzyciel z natury, wpatrywał się często w blask księżyca i połysk gwiazd, nigdy jednak nie pytał się o bieg, ich ani o położenie.

Za to stary kucharz lepiej znał się na tem. Pokazał Jerzemu najsamprzód wysoko już ponad niemi na niebie stojący krzyż południowy, wedle położenia i wysokości którego, w przybliżeniu przynajmniej mógł oznaczyć stopień szerokości geograficznej, na jakim się znajdowali. Kapitan bowiem nigdy nie zawiadamiał ludności okrętowej o rezultacie swych obserwacyi dziennych, szczególniejszym zaś sposobem rezultat ten uważano za tajemnicę.

Stopnia długości kucharz bez chronometru i innych narzędzi określić nautaralnie nie był w stanie, niepodobna przeto było wiedzieć, jak daleko było od portu amerykańskiego. Jednakowoż stopień szerokości mógł być w pewnym względzie branym za punkt wyjścia, odpowiednio też do tego kucharz sądził, że stanęli już na wysokości wysp Falklandzkich. Bardzo też było prawdopodobnem, że kapitan wylądujc na jednej z nich i w ogólności, że zatrzyma się w pobliżu przez czas pewien, ponieważ pojawiała się niekiekiedy w tych stronach znaczna liczba wielorybów, a niektóre statki pożądany znalazły tam połów.

Wdawszy się raz w rozmowę z kucharzem, Jerzy wkrótce dowiedział się od niego, że i on sam dawniej rzeczywistym był marynarzem, a nawet pełnił obowiązki kapitana. Ale wskutek nieszczęścia podupadł, okręt jego uległ rozbiciu niedaleko jednej z wysp moluckich, a sternik, który sam chciał zostać kapitanem, oskarżył go potem przed właścicielem okrętu, którym był Dom Handlowy Barring, Simms i spółka z Nowego Jorku. Po powrocie do domu, pozbawiony zaufania i okrętu, musiał

znów zgodzić się za sternika. Przygnębiony i zatruty tem wszystkiem, jak wyznał otwarcie, oddał się pijaństwu, tak, iż coraz spadał niżej, aż w końcu wyszedł na kucharza okrętowego, chleb tak nędzny, jak dodawał, że nie może być gorszy na obszernem bożem morzu.

Barring, Simms i spółka!—traf, nieraz dziwnie miota ludźmi na ziemi to, była dawna firma teraźniejszego interesu ojca Jerzego! Ból przejął mu serce, skoro usłyszał te znane nazwiska.

Barring, Simms i spółka!—a on, uczestnik tej firmy, wspólnik jednego z najszanowniejszych Domów Handlowych Nowego Jorku służył, za prostego majtka na okręcie dążącym na połów wieloryba—i wyrwany z pośród wszystkiego, co człowiekowi jest drogiem, płynął ku oceanowi południowemu. W pierwszej chwili zapragnął zwierzyć się kucharzowi—ale może jego właśnie firma skrzywdziła, może z jej winy stał się tem, czem jest teraz: sługą, gdzie jako pan rozkazywał dawniej? nie należałoż mu obawiać się, by z tego już powodu nie ściągnąć na siebie jego nienawiści? Lepiej, że milczał, bo cóżby mu pomógł kucharz? Najwyżej uczyniłby, mu smutne i tak życie, na okręcie jeszcze nieznośniejszem.

Zbliżywszy się do wysp, których jednak dojrzeć nie mogli, *Botsy-Crow* złowił pierwszego wieloryba, w skutek czego nowe życie zbudziło się na pokładzie.

Już za pierwszem ukazaniem się ryb zdawało się, że iskra elektryczna przebiegła po załodze okrętowej, która przez cały czas, jakby śpięc, wykonywała zwykłą swoję robotę. Kapitan, który przedtem ciągle był w kajucie swojej nadole i czytał leżąc na sofie, rzucił książkę w kąt i wybiegł na pokład, sternicy wraz z pomocnikami swymi wskoczyli do łodzi, a beczki napełniono wodą. Harpuny, lance, wyostrzone topory i noże leżały w pogotowiu, a ludność łodzi pojedynczych czekała tylko rozkazu zatrzymania się.

Jerzy przeznaczony został do łodzi trzeciego harpuniera, Mr. Holk na której Bill był sternikiem i gdzie czuł się dosyć spokojnym, zwłaszcza, że doskonale był obeznany z wiosłem z czasów przejażdżek swoich po zatoce morskiej. Niewszyscy jednak na okręcie posiadali biegłość podobną. Było wprawdzie wielu, którzy rzemieniem, jnk nazywają wiosło, robili wybornie; ale też dużo było pomiędzy nimi mieszczuchów, zwerbowanych na bruku nowojorskim, którzy nie mieli o tem pojęcia. Niedbałością zaś było nie do przebaczenia, że w czasie ostatniej ciszy wietrznej nie przedsiębrano z nimi ćwiczeń odpowiednich.

Do każdej łodzi należy sześciu ludzi i harpunier, który ma władzę zwierzchnią i którego zadaniem jest przybliżyć łódź do wieloryba, podczas gdy tak zwany sternik z harpuną zwróconą ku przodowi stara się przedewszystkiem silnym rzutem nań uderzyć—oprócz tego cztérech majtków, jako wioślarzy. Nie chodzi tu o miejsce, w jakie sternik trafia, uderzając harpuną, byleby tylko przebił nią sadło wieloryba i zaczepił o nie tak, ażeby olbrzym w ten sposób złapany, lecz jeszcze nie ranny śmiertelnie, pociągnął za sobą łódź przyczepioną do długiej, prędko wyrzuconej liny. Potem wszystkiem nastaje chwila stanowcza. Wtedy najdzielniejszy z majtków rzuca wiosło i chwyta za linę, na której wisi wieloryb by *jasno* utrzymać takową, bo gdyby się zaplątała i ryba zanurzyła się w głębinę—nie pozostałoby nic innego, jak ją odciąć pod ręką będącym, nadzwyczaj ostrym toporem; gdyż w przeciwnym razie wieloryb porwałby za sobą w otchłań łódź całą. Jednocześnie sternik staje z tyłu u wiosła swojego, a harpunier, jako *matador* lokuje się ponad siedzącymi na ławach wioślarzami, by, gdy znów dopędzą wieloryba, zadać mu cios śmiertelny długą i ostrą swą lancą[1]).

Z początku wiosłowanie jest całem zajęciem majtków siedzących w łodzi, jeśli wiatr sam nie popędzi ich w stronę wieloryba. Kiedy jednak harpunier zada już raz śmiertelny ściganemu zwierzęciu, wtedy całe bezpieczeństwo łodzi złożone jest w ich ręku, o ile mianowicie sprężyście i jednocześnie wypełniają rozkazy tegoż harpuniera, w celu ocalenia chwiejącego się statku od następstw dzikiej i zaciętej obrony wieloryba. Jedno niewłaściwe poruszenie wiosłem, może w takich razach zgubić wszystkich. Jeśli bowiem wieloryb, rzucając się, choćby lekko uderzy w łódź ogonem, niechybnie rozbija ją w kawały, gdy zaś nie ma bezpośrednio pod ręką innych łodzi, załoga, albo tonie, albo staje się łupem co chwila w tych okolicach przesuwających się ryb-ludojadów.

Chwila, w której łodzie odbiły wreszcie od okrętu i o wzdętych żaglach dążyły na łowy—była dla Jerzego pierwszą chwilą zapomnienia się i zżycia z teraźniejszością, pierwszą od czasu, kiedy w sposób tak okropny wyrwany został z kraju rodzinnego i z pośród wszystkiego, co mu szczęście zapowiadało.

Tam na otwartem morzu ryby potężne, nic przeczuwając, ani lękając się niepezpieczeństwa, pieniące się wody strumienie wyrzucały wysoko w powietrze, dzielna łódź sunęła śmiało do walki, a na przodzie stał sternik z harpuną konwulsyjnie ściśniętą, wlepiając wzrok we wznoszące się lubo odległe jeszcze strumienie. Było to przecież punktem honoru dla żeglarzy, czyja łódź najsamprzód dosięgnie wieloryba, a tym sposobem zapewni znaczne korzyści całej załodze.

Wiosła przytem były bezczynne, gdyż powierzona żaglom łódź szła prędzej i ciszej. Na wszelki jednak wypadek leżały w pogotowiu, gdyby np. ryby zmieniły nagle swój bieg i zwróciły się przeciwko wiatrom, co się bardzo często zdarza.

Szczególne współzawodnictwo panowało pomiędzy pierwszym a drugim harpunierem. Obaj zarówno wielkie mieli żagle i o dość znaczną przestrzeń byli już wyprzedzili łodzie trzeciego i czwartego harpuniera, gdy wtem nagle zdawało się, że ryby odrazu znikły i przestały ukazywać się strumienie wodne.

d. c. n.

DZIAŁALNOŚĆ KOBIETY

w kuchni, kółku domowem i salonie.

RADY PRAKTYCZNE

dla młodych żon i panien,

streszczone z dziełka

MARYI CALM.

(Dalszy ciąg)

Często też niechęć, do zajęć domowych powstaje z nieumiejętności, wzięcia się do nich. To tylko chętnie czynimy, co umiejętnie potrafimy wykonać. Zdarza się czasem, że to jest wadą umysłu, ale te wypadki są rzadkie; kebieta może nie mieć talentu do muzyki, języków i tym podobnych rzeczy, ale do utrzymania domu i gospodarstwa każda ma dosyć rozumu i pojęcia. Wprawdzie, jedna ma więcej, druga mniej zdolności, jedna posiada talent, przy małych środkach, oszczędnie i wygodnie się urządzać, druga znowu na małe gospodarstwo dużo wydaje. Tam gdzie sam tylko pomysł nie wystarcza, tam doświadczenie, i praktyka dużo znaczą; najważniejszą rzeczą, w tej, jak w każdej innej pracy jest, że trzeba się jej nauczyć.

Rzecz dziwna, że mało osób uczy się tej gałęzi. Chłopców w tym względzie, daleko staranniej przygotowują: od żadnego z nich nie żądają, aby bez nauki umiał but naprawić, a nawet i sznur ukręcić, a od dziewczyny chcą ażeby wszystkie domowe roboty z natchnienia bożego wykonywać umiała.

„Już to samo przyjdzie,” wymawiają się matki i nauczycielki, kiedy zwracają ich uwagę na to, czy przyszła gospodyni, umiejętnie odpowie swym obowiązkom: „tego wszystkiego, najlepiej się nauczy przez praktykę.” Otóż te szanowne damy chcą, aby to *wszystko*, to jest dom w porządku utrzymać, gospodarstwo urządzić, sługom umiejętnie rozkazy wydawać, a często i samej obiad przyrządzić, ażeby, powtarzam, to *wszystko* umieć z natchnienia bożego! Prawda, że przy dobrej woli, kobieta w parę lat przez praktykę wszystkiego się nauczy; ale wieleż to przykrości, wiele upokorzeń znieść musi od tychże samych sług, urągających i najbezwstydniej oszukujących, niedoświadczoną młodą gospodynię! Wiele nieraz przykrości do zniesienia, od samego męża, o którego kieszeń ta niewczesna nauka naturalnie oprzeć się musi!

Przez natchnienie, nikt do nauczenia się gospodarstwa domowego nie doszedł, stanowi bowiem ono całą odrębną gałęź, kobiecego wychowania.

Zdaniem naszem, starać się trzeba uzdolnić dziewczęta, do przyszłego wykonywania ich przeróżnych obowiązków nie ograniczając się li tylko na wiadomościach kuchennych, i w ogóle gospodarczych; potrzebne jest także salonowe wychowanie, ale matki, bierzcie to sobie za prawidło, w córkach waszych, wyrabiajcie wcześnie chęć i upodobanie do życia domowego, do cichych zajęć w kółku rodzinnem.

W dziecinnym wieku, najłatwiej przyzwyczajać dziewczynki do gospodarstwa, a dopiąć tego można zalecając im jakieś jedno lub drugie łatwe zajęcie. Od powicia prawie mają one wrodzoną chęć do gospodarowania, i sama byłam świadkiem, jak 12-to letnie panienki, dla swych lalek na maleńkiej spirytusowej kuchence, smaczne obiady gotowały. Ogólnie przyjęty jest zwyczaj aby po skończeniu nauk, starsza córka zajęła się domem i pomagała matce, w gospodarstwie; lecz na czem się zasadza ta nauka? oto, na eleganckiem podaniu potraw, na upieczeniu ciastek, na zgrabnem nalaniu herbaty przy gościach. A w rzeczy samej, jest to tylko kokieterya, ukrywająca się pod osłoną kuchennego fartuszka.

Taka nauka, przynosi najgorsze skutki; dziewczęta należy tak dalece wtajemniczać w sprawy domowe, ażeby w razie potrzeby, same wszystkie prace wykonywać potrafiły, a w każdym razie dobrego ich wykonania dojrzeć mogły. Najgłówniej, uczcie panie wasze córki za młodu liczyć, co ten, lub ów produkt kosztuje, jakie są domowe wydatki w ciągu tygodnia, miesiąca, roku; nie tajcie przed niemi środków, którym winne jesteście swe utrzymanie, mówcie im, o ciężkiej pracy ojca, o waszych własnych usiłowaniach, ażeby grosz ciężko zaprocowany, jak najdłużej utrzymać w domu. Takie rozmowy podziałają korzystnie, na młody umysł panienki, która się wcześnie nauczy jak ma swe pieniądze oszczę-

[1]). Lanca na pokładzie okrętu dążącego na połów wieloryba tem tylko różni się od zwyczajnej harpuny, że niema haków poprzecznych i że jest nieco dłuższa i lżejsza. Zresztą i lanca za pomocą łuski osadzoną jest na krótkim trzonku i cofniętą zostaję natychmiast po dokonanym rzucie. Miejsce, w które należy uderzyć wieloryba, by go zranić do krwi, mniej więcej jest wielkości talerza i znajduje się za obydwiema bocznemi pletwami. Skoro wieloryb raz szczęliwie w to miejsce zostanie uderzony, wyrzuca krew i wodę i zaraz potem zostaje bezwładnym.

dzać a nauka ta na późniejsze jej życie wywrze wpływ niezatarty i stanowczy.

Drugim powodem, dla którego ideał prawdziwej gospodyni tak rzadko widzimy urzeczywistniony jest wyłączne zajęcie się pracami domowemi.

Taka gospodyni, myśląc wyłącznie, a zatem z uszczerbkiem wszystkich innych zajęć, tylko o śniadaniach, obiadach i kolacyach, ciągle sama naprawiając i łatając odzienie nie ma rzeczywiście czasu, być podporą i towarzyszką męża, zająć się wychowaniem dzieci, odwiedzeniem przyjaciół; odrywa się ona od świata, od krewnych i znajomych, dlatego, że jest wzorową gospodynią.

Szanowne czytelniczki, jesteście paniami, a nie sługami; obowiązkiem waszym, jest doglądać robót gospodarczych—nie zaś osobiście je wykonywać.

„Zgadzam się na to, wtrąci tu rozgniewana gospodyni, ale sługi są tak złe, że im zaufać nie można!" Prawda, mają też i one trochę słuszności, te nieszczęśliwe męczennice ogniska domowego: lecz zobaczmy, czy się nam nie uda wytłómaczyć im, że właśnie to ich gorączkowe zajęcie winno wszystkiemu złemu.

„Otóż dom duży, zajęcia liczne, sługi złe!" wejdź w siebie, ty nieszczęsliwa gospodyni; czy panuje porządek w twojem zajęciu? czy śniadania, obiady, herbaty i kolacye, mają pewne stałe godziny? w końcu, czy sługi twoje wiedzą dokładnie, co kiedy czynić mają? czy nie wydajesz obiadów bardzo kosztownych? czy nie zajmujesz się, ciągłem czyszczeniem, tych ładnych cacek, któremi, w ogóle nasze salony są przepełnione, a które, robią z naszych buduarów, i bawialni, rodzaj wystawy sklepowej: une boutique de bric — à brac? Jeśli wreszcie i w tym względzie, nie poczuwasz się do winy, czy nie tracisz zbyt wiele czasu przy jadalnym stole?

O Niemcach mówią, że oni ciągle jedzą—a nam Polakom, czyż nie można równego uczynić zarzutu?

Mamy, szczególniej po wsiach, pierwsze i drugie śniadanie, obiad, kawę, podwieczorek, herbatę i kolacyą—siedem razy siadamy do stołu, kiedy gdzieindziej ogranicza się to na trzech lub czterech razach dziennie. „To zwyczaj krajowy, odpowiecie mi panie, odmienić go niepodobna!" Zgadzam się na to, że przyzwyczajenie, które jest drugą naturą, czyni poniekąd niezbędnem częste jedzenie, lecz tak wiele czasu służba traci, na ciągłe przygotowania i sprzątania w sali jadalnej, iż gdybyście to wzięły pod uwagę, przechyliłybyście się do mego zdania, potępiającego, to złe przyzwyczajenie. Służba, i sama, pani domu i cała rodzina, zyskałyby dużo czasu i swobody.

„To wszystko dobrze, odpowiedzą mi panie, ale główne zadanie jest nierozwiązane, sługi są złe i na to nie ma rady!"

Tak, sługi są plagą domową i umęczeniem pani, zarówno tej, która im za mało, jak tej, która im za wiele ufa. Ileż to razy się zdarza, że pani, zamiast kucharki, obiad gotować musi mówiąc: „ona mi to zepsuje;" ale też i zawsze psuć będzie, jeżeli jej nie nauczycie, iżby sama dawała sobie rady w kuchni. Tak, jak najpracowitsze matki, mają najleniwsze córki, tak często się zdarza że najskrzętniejsze gospodynie mają najgorsze sługi. Poczęści robione im zarzuty są niesłuszne, gdyż odbierając samoistność w zajęciach, odbieracie im ochotę do pracy; często widzimy, że sługa, na którą się pani bezustanku skarżyła, w czasie jej nieobecności, najsumienniej i najlepiej pełni swój obowiązek. To jest dowodem, że panie, ciągle zrzędząc na sługi, sprawiają niepokój w domu, sługi tracą głowę, cała rodzina zostaje w pewnym rodzaju rozdrażnienia, a to wszystko łatwo by się usunąć dało przy większej nieco dozie, rozwagi i spokoju.

Niech pani domu wyda polecnie swej kucharce i nie miesza się już do jej czynności. Kucharka ma też swoje doświadczenie, swój sposób widzenia rzeczy; uszanuj je, postępuj z nią łaskawie i grzecznie, a pozyskasz w niej dobrą przywiązaną sługę interesującą się domem i jego powodzeniem.

Moglibyśmy w tej mierze, dużo skorzystać od Anglików, który, a szczególniej kobiety, bez porównania mniej, niż nasze panie, zajmują się domowem gospodarstwem. Tam też i sługi są lepsze. Tam kucharka nie ścierpi ażeby pani oprócz wydania rozkazów i prowizyi, mięszała się do przygotowywania potraw. I ma racyą, dlatego też w Anglii sługi daleko lepiej czynność swą spełniają bez niczyjej pomocy, niż w innych krajach. Tam kucharka, za dobre, lub złe zgotowanie potraw sama odpowiada, a i pochwała jej się należy, za smaczne przyrządzenie potrawy; u nas, podobnie jak w Niemczech, jeżeli cóś zepsutego podadzą na stół, panie się uskarżają na kucharkę, a gdy potrawa gościom smakuje, sobie przypisują zasługę.

Doskonałą pokojówkę i kucharkę można w Anglii znaleść prędzej, niż u nas, gdzie rodziny średniej zamożności, trzymają jednę sługę tak zwaną: *do wszystkiego* a do dzieci kilkonastoletnią dziewczynkę, także prawie jeszcze dziecko. W Anglii tak nie jest: gdzie środki nie pozwalają na trzymanie bony, tam pokojówka, ubiera je i prowadzi na spacer, a matka sama zajmuje się do lat siedmiu ich wykształceniem. W Angliii, gdzie w ogólności ludzie więcej, niż w innych krajach, zastanawiają się nad życiem materyalnem i duchowem, uważają słusznie, że potrawa, lub nawet cały obiad zepsuty, mniejszej jest wagi, niż zepsute dziecko, czego niestety, tak częste przykłady widzimy na naszych dzieciach, zostawionych bez dozoru w rękach bon i nianiek.

Pani domu oddająca się z zapałem, wszystkim gospodarskim drobnostkom, np. gotowaniu, czyszczeniu, myciu, a zapominająca, o urządziu całości—nie rozumie swego powołania. Schodzi ona z wysokiego stanowiska, żony, towarzyszki męża i pani domu, do niskiego stanu, sługi i niewolnicy. Gospodyni powinna być w domu tem, czem w wojsku dowódca lub hetman, który sam walczy tylko w ostateczności; wszystkie obroty i manewry sam lepiej potrafi uskutecznić, niż jego podwładni, ale do nich ręki nie przykłada, bacząc na to, że uwaga zwrócona na całość, może li tylko, na jego stronę przechylić zwycięztwo.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Tunel podmorski między Francyą i Anglią, którego pomysł i plany od tak dawna były przedmiotem rozpraw między finansistami i inżynierami obu tych krajów w przyszłym roku ma być rozpoczęty. Jeżeli dzieło to będzie wykonanem, śmiało policzyć je można pomiędzy cudy, świata,—chociaż należy się obawiać, aby wielkie koszta i mozolna praca nie dały zbyt małych korzyści. I kanał, Suezki zdawał się na planach większe oddawać usługi, aniżeli teraz w rzeczywistości oddaje.

Taksa lekarska. Na ostatniem zebraniu lekarzy w Wiedniu, przyjęto następującą uchwałę, co do zaprowadzenia taksy za odwiedzanie przez lekarzy. Za normalną taksę za wizytę oznaczono 2 guldeny; najmniejsza opłata wynosi 1 gulden, za wizyty nocne od 10 wieczór do 7 rano opłata podwójna. Za konsylium 5 guldynów. Za wszelkiego rodzaju operacye, pomoce chirurgiczne i t. p. wynagrodzenie zależy od wzajemnej ugody.

Opłata za wizytę winna się uskuteczniać niezwłocznie, w przeciwnym razie lekarze obowiązani są podać rachunek. *Gaz. W.*

Olimpia. Niezadługo ziemia klasycznej Olimpii, gdzie zbierali się Grecy wszystkich plemion na rozliczne religijne i narodowe uroczystości stanie się polem archeologicznych poszukiwań na wielką skalę.

Rozkopaliska te prowadzić się będą wspólnym kosztem rządów Niemiec i Grecyi, i w tym celu zawarto nawet i stosowną Konwencyą. Znakomici znawcy starożytnego świata prof. Kurtius i Adler jeździli robić na miejscu specyalne przedwstępne studya.

Oparzelizna. Najlepszym środkiem na oparzeliznę ma być według doświadczeń Dra. Addineta Howson przyłożenie na ranę wilgotnej czarnej ziemi, która w jednej chwili uśmierza ból i niedopuszcza ropienia.

Zapadły bór. W Rogowie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, na łące przy kopaniu torfu natrafiono na wielką ilość pni dębowych do 80 stóp długich a 3 do 4 średnicy. Drzewo dębowe zczerniałe, doskonale się przechowało, inne jednak rodzaje drzewa, które się także trafiają okazały się nie przydatne już do użytku.

OD REDAKCYI.

Były Redaktor i Wydawca **Ogniska Domowego** nadesłał nam list następujący:

„Szanowny Redaktorze! Zechciej w najbliższym numerze **Ogniska Domowego** uwiadomić Szanownych Prenumeratorów tegoż pisma, iż Ci z Nich, którzy przedpłatę na **Ognisko** wychodzące w roku zeszłym i w początku bieżącego pod moją redakcyą i wydawnictwem, wnieśli tylko za kwartał, z dniem pierwszym grudnia r. b. wyczerpną takową i dalej na mój rachunek pisma tego odbierać nie będą.

Ci zaś, którzy wnieśli roczną lub półroczną prenumeratę i nie otrzymywali wzamian innych pism, odbierać będą **Ognisko** dalej, aż do wyczerpania czasu: pierwsi jedenasto-miesięcznego, drudzy pięcio-miesięcznego.

B. Korpaczewski.

b. Redaktor i Wydawca Ogn. Dom.

Zamieszczając powyższą odezwę, mamy zaszczyt uprasząć tych z PP. Prenumeratorów, którzy i nadal, życzyć sobie będą odbierać bez przerwy **Ognisko Domowe**, iżby o tem wcześnie uwiadomić raczyli Redakcyą.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**